DYMITR

Druk Tow. Akc. S. Orgelbranda Synów w Warszawie.

DYMITR

(DEMETRIUS)

Jana Krzysztofa Fryderyka Schillera.

FRAGMENT DRAMATU,

znaleziony po śmierci poety pomiędzy jego pracami.

W setną rocznicę śmierci autora
przetłumaczył z oryginału
ELIGJUSZ WIKTOR SZRAJBER.

Prawo tłumacza zastrzega się.

WARSZAWA
Skład główny w księgarni Gebethnera i Wolffa w Warszawie,
G. Gebethnera i Sp. w Krakowie
1906.

ДОЗВОЛЕНО ЦЕНЗУРОЮ.
Варшава, 24 іюня 1905 г.

BIBLIOTEKA
77227

k-117/77/83578

SŁOWO WSTĘPNE.

Profesor Stanisław hr. Tarnowski w dziele swem „O dramatach Schillera“ ubolewa, że piśmiennictwo nasze nie przyswoiło sobie dotychczas schillerowskiego „Demetriusa“ w przekładzie polskim. „Demetrius“ jest, według opinji tegoż profesora, „jedną z najpiękniejszych pereł, jakie wydała dotychczas literatura świata.“

Haczyk z taką przynętą pociągnął mię i, jakkolwiek nie staję zawodowo w szeregach pracowników naszego piśmiennictwa, to znając język oryginału i zgadzając się na to, że skarga naszego profesora jest słuszna, pokusiłem się o to, by tę szczerbę wypełnić.

Daję więc w przekładzie moim to, na co mię stać, według zasady: „a jako kto może...“ i dalekim będąc od chełpliwości, lub też przesadnej skromności, wołam z serca: vivat sequens!

Lecz i inne motywy składały się na ową przynętę haczyka, a temi były: Rozkosz — i żal.

Tak, rozkosz, bo, chodząc po szlakach myśli schillerowskich, przeżywałem najpiękniejsze chwile, oderwany od szarzyzny zajęć praktycznych, chlebodajnych; żal, że u nas, wśród iście licznej rzeszy pisarzy utalentowanych, tak mało znajdujemy zwolenników chwytania pełną garścią faktów i wydarzeń z bogatej historji naszej, że dopiero talenty sąsiednich narodów chwytają je i — nie odstraszając się głębokiemi i mozolnemi studjami nad naszą historją, nad naszym krajem, nad jego zwyczajami i obyczajami, nad naszym sposobem myślenia i wyrażania tych myśli — uczą się poniekąd mowy naszej, by módz wykazać całe ich piękno, ich prawdę, by udowodnić, jak bogatym jest u nas materjał na dramat — dramat w świecie bytującej słowiańszczyzny.

Jakżeż u nas ubożuchne pole dramatu w porównaniu z niem w dorobkach takich: Schillera, Goethego, Shakespeara, Cerwantesa, Dantego i in. Jak głębokie u nich studja nad Helladą i Romą, nad analizą ludzkiej duszy i serca, nad tajnikami przyrody: co za szeroki horyzont wiedzy, dobrze nagromadzonej, ugruntowanej i organicznie powiązanej. Z tak przepojonemi duszą i sercem, myślą i uczuciem, oddani cali danemu utworowi, błyszczą owi tytani swym genjuszem wiekopomnie w historji literatury. Oni to zapalają serca ludzi do czynów podniosłych, zniewalają do szlachetnych, oni uczą, jak jednostce należy pojmować stosunek swój do całości, do ogółu kraju, narodu, Ojczyzny!

A tylko z takich synów składa się wieniec postępu ludzkości, a do wiązanki takiego bukietu być wplecionym — oto godne i szczytne usiłowania wszystkich poszczególnych ludów kulturalnych.

Lecz takim synom, w poszczególnych krajach, wybitnym, nie majaczą jakieś tam „pra-łona,“ „nagie dusze“ i t. p. wytwory wyobraźni dusz obłąkanych, lub też podnieconych alkoholem, w myśl Bartka Rugpiutisa ze Sfinksa J. I. Kraszewskiego.

Dramat nasz woła Was, utalentowani Synowie Polski i reszty braci słowiańskiej! Mamy tu u nas, w domu i o ścianę, tak w przeszłości, jak i w teraźniejszości, wiele motywów godnych opracowania, ale trza je umieć wyszukać i odczuć czystem sercem. Talent, poparty nauką, wiedzą i szczerze kochającem sztukę sercem, pozwoli i Wam zdobyć owo miejsce poczesne w tym bukiecie ludzkości, gdzie jaśnieją kwiaty kultury narodów poszczególnych. W tym wieńcu zaprawdę mało widnieje osobników naszego społeczeństwa, a biada narodowi, jeśli obecność jego kwiatów w tym bukiecie będzie żadną, lub tak nikłą, że ją kwiecia drugich narodów przytłumią i w cień zepchną!

Wysiłkiem każdej generacji narodu być powinno, by takie kwiaty, uszczknięte na niwie sztuki, nauki, odkryć i wynalazków, mogły być wplecione do tego szczytnego bukietu.

Przodowanie ludzkości, dowody żywotności i kultury nie leżą bynajmniej w stroszeniu brwi i wąsa, w groźbie pięści, lub pobrzękiwaniu szabelką; lecz, przeciwnie, leży ono w tej tak, zdawałoby się, nikłej, nie znaczącej, a jednak najpotężniejszej — sile, której działaniu nic się oprzeć nie zdoła, a tą siłą, tą dobrą nowiną, jest miłość bliźniego. Tą więc drogą, uzbrojonym tą niepożytą siłą, nam kroczyć i dążyć należy, aby bytowanie nasze nie było daremnem.

Tłumacz.

Warszawa, w lipcu 1905 r.

SCENA PIERWSZA.

Walny sejm w Krakowie.

Po podniesieniu kurtyny, widzimy posiedzenie Stanów Rzeczypospolitej Polski, odbywające się w wielkiej sali Senatu. Na estradzie, wzniesionej na trzech stopniach i okrytej kobiercem, wznosi się tron królewski pod baldachinem; po obu stronach widnieją herby *Polski* i *Litwy*. *Król* siedzi na tronie; po jego prawej i lewej stronie stoi na estradzie dziesięciu dygnitarzy koronnych. Poniżej estrady siedzą po obudwóch stronach sceny biskupi, wojewodowie i kasztelanowie; naprzeciw stoją posłowie z odkrytemi głowy w dwóch szeregach — wszyscy uzbrojeni. Arcybiskup Gnieźnieński, jako *Prymas*, siedzi najbliżej proscenium, po za nim stoi kapelan, trzymający wielki złoty krzyż.

ARCYBISKUP GNIEŹNIEŃSKI.

Burzliwy sejm ten ma się ku końcowi,
Aby korzystnie swe sprawy załatwić;

Król, oraz Stany rozchodzą się w zgodzie,
Szlachta przystaje, aby się rozbroić;
Oporny rokosz zgodnie się uśmierza.
Lecz Król poręcza swojem świętem słowem,
Że słusznym skargom da zadośćczynienie.
— — — — — — — — — — —
Teraz więc, skoro mamy wewnątrz spokój,
Możemy rzucić okiem za granice.
— — — — — — — — — — —
Pytam obecne tu wysokie Stany,
Zaliż się godzi wysłuchać z Ich wolą
Księcia Dymitra, który pretenduje —
Objąć koronę Rusi, jak prawdziwy
Syn Cara Iwana;
Czy zgoda na to, aby u stóp Tronu,
Na Sejmie Walnym, słuszności praw swoich
Dowodzić daną była mu sposobność?

KASZTELAN KRAKOWSKI.

Honor i sprawiedliwość nakazują,
Żądaniu temu by się stało zadość.

BISKUP WARMIJSKI.

Wsze dokumenty dotyczące sprawy
Zbadano i sprawdzono;
Ustnych wywodów wysłuchać należy.

WIELU POSŁÓW.

Wysłuchać tego — co nam powie — trzeba.

LEW SAPIEHA.

Lecz go wysłuchać — to znaczy go uznać!

ODOWALSKI.

Wysłuchaniu się oprzeć — to już znaczy,
Bez znania sprawy, ryczałtem porzucić.

ARCYBISKUP GNIEŹNIEŃSKI.

Czy się zgadzacie, by był wysłuchanym?
Pytam ja Panów po raz wtóry, trzeci?

WIELKI KANCLERZ KORONNY.

Niechaj się stawi przed stopniami tronu.

SENATOROWIE.

I niechaj mówi.

POSŁOWIE.

Słuchajmy go.

(Wielki Marszałek Koronny daje znak laską odźwiernemu, który wychodzi, aby drzwi otworzyć.)

LEW SAPIEHA.

Proszę zapisać do akt protokółu,
Mości Kanclerzu! że ja oponuję
Tak przeciw sprawie, jak i jej następstwom;

Sprawa ta bowiem grozi pokojowi
Korony polskiej i Moskwy korony.

DYMITR wchodzi, postępuje kilka kroków ku tronowi i z nakrytą głową oddaje trzy ukłony: jeden Królowi, drugi Senatorom, trzeci Posłom; każdemu jego ukłonowi oddaje ukłon strona, ku której został skierowanym, poczem staje zwrócony do publiczności — która była obecną na Sejmie — tak, aby być widzianym przez większą część tejże, a nie stać plecami do Króla.

ARCYBISKUP GNIEŹNIEŃSKI.

Książę Dymitry, synu Iwanowy!
Jeśliś zatrwożon świetnością zebrania
Królewskich Stanów — lub jeżeli tobie
Blask Majestatu język twój krępuje,
Za zgodą Stanów masz pełną swobodę,
Dobrać obrońców według własnej woli,
Iżbyś się obcą mógł posłużyć mową.

DYMITR.

Arcybiskupie! Staję między wami,
Aby zażądać tak państwa, jak berła;
Kruche by były mej pretensyi prawa,
Gdybym się wobec szlachetnego ludu,
W obliczu Króla i Senatu stojąc,
Zaląkł. — — — — — — — — — Prawda,
Żem dotąd nigdy nie oglądał jeszcze
Tak prześwietnego, jak to jest, zebrania;
Którego widok pierś moją podnosi,

Otuchę wlewa, wszelką płosząc trwogę.
Im prześwietniejsi sprawy tej świadkowie
Mię otaczają — tem mi więcej w cenie;
Zebranie bowiem, przed którem mam mówić,
Świetniejszem nigdy, nigdzie być nie może.

ARCYBISKUP GNIEŹNIEŃSKI.

— — — — — — Prześwietna Rzeczpospolita
Przychyla się. — — — — — —

DYMITR.

Wielki Monarcho! Potężni, czcigodni
Biskupi, Wojewodowie — oraz Wy,
Wielmoże Posły przesławnej Korony!
Zdumionym i aż w głąb' wzruszonym,
Patrzę na siebie tu — Syna Iwana
Wśród Was, wśród Sejmu, wśród narodu Polski!
Krwawa nienawiść dzieliła narody
Obadwa zawsze za życia Rodzica:
Nieba jednakże tak postanowiły,
Bym ja — syn Carów — którym z piersi matki
Ssał nienawiści dziedzictwo tak stare,
Przyszedł tu do Was — między Wami stanął,
W kornej postawie błagając o łaskę;
Bym, z wolą Waszą i Waszem ramieniem,
Dochodzić zdołał mych Ojców dzierżawy...
Nim rzecz wyłożę, zechciejcież zapomnieć
Dawne urazy, niechęci i straty.

O zapomnijcie, że Iwan, mój Ojciec,
W kraj Wasz zapuszczał wojenne pożogi.
Stawam przed Wami — ja, Następca tronu,
Z mych praw wyzuty, upraszam opieki. —
Prawem przyrody mnie, uciśnionemu,
Wszak się należy pomoc zacnych piersi!
Któż zdoła pełnić sprawiedliwość godniej,
Jeśli nie naród potężny, a wielki,
Który w poczuciu swego Majestatu
Sobie samemu sprawę zdawać może
I bezgranicznie — — — — — —
Ludzkości prawu posłuch dać ma siłę!?

ARCYBISKUP GNIEŹNIEŃSKI.

Wierzyć nam każesz, żeś synem Iwana!
Zaiste! Niebrak pewnej pokrewności
Pomiędzy Tobą a dumnym zamiarem:
To się z Twej mowy, postawy odczuwa;
I jeśli zdołasz dać nam dowód pewnie,
Żeś tą osobą, którą być się mienisz
Natenczas — — — — — —
Spodziewać śmiele możesz się wszystkiego
Po sercu Rzeczypospolitej, która,
Moskwy się nigdy nie ulękła w walce,
I umie w boju — być szlachetnym wrogiem,
A przyjacielem — w każdej zacnej sprawie.

DYMITR.

Iwan Wasiljewicz, Car Moskiewski,

Miał pięć żon, które poślubiał w kolei
Długiego swego rządów sprawowania.
Pierwsza Romanow — z rodu bohaterów,
Matka Fiodora, co po nim panował —
Dymitra zaś po nim jedynego —
Owoc sił jego z lat późniejszych chwili, —
Dała mu Marfa, z rodziny Nagori;
W lat niemowlęctwie odumarł go Ojciec.
Car Fiodor — chłopiec o niewielkiej sile,
Umysłem słaby, przelał rządów sprawy
Na najstarszego swego koniuszego,
Borysa Godunowa, co nim w pełni
Podłem służalstwem zawładnąć potrafił.
Car zmarł bezdzietnym, a Następcy tronu
Bezpłodność wdowy nie zapowiadała;
Więc chytry bojar, będący przy władzy,
Różnemi sztuczki wkradł się w łaski ludu,
I nie zawahał się zapragnąć tronu.
Butnym zachciankom stanęło na drodze
Młode Książątko — Dymitr, syn Iwana,
Który w Ugliczu, pod bokiem macierzy,
W pałacu wdowy chował się w spokoju.
Więc, skoro cele łotra już dojrzały
I wykonania ich nadeszła pora,
Ot, co wymyślił! Śle on do Uglicza
Zgraję siepaczów z tajemnym rozkazem,
By ci książątko to zamordowali! — — —
Pożar ogarnął o północy skrzydło

Pałacu, w którem maleńkie książątko,
Z dozorcą swoim oddzielnie mieszkało.
Zgliszcza zaległy dawniejsze domostwo,
A książę zniknął z oczu narodowi. —
I tak zostało; płakał go świat cały.
Nagi fakt mówię — Moskwie całej znany.

ARCYBISKUP GNIEŹNIEŃSKI.

To, co nam mówisz, jest nam wszystkim znane.
Wieść się rozeszła po przez wszystkie kraje,
Że Wielki Książę Dymitr padł ofiarą,
Podczas pożaru pałacu w Ugliczu.
Ponieważ śmierć ta obecnego Cara
Silnie w swych prawach na tronie poparła,
Więc nań wskazano zaraz po pożarze
I oskarżono o tak ciężką zbrodnię.
O śmierci Księcia nie mówmy w tej chwili;
Książę t e n żyje! — I w Waszej Osobie,
Jak utrzymujesz. — Tutaj więc dowodów
Potrzeba. — Jak zdołacie dowieść,
Żeście tym samym? Po jakowym znaku
Was poznać można? Jakże się to stało,
Że Was nie odkrył czujny prześladowca?
Że występujesz po długim spokoju
Na widok ludów, po latach szesnastu,
Sam będąc zgoła nieoczekiwanym?

DYMITR.

I roku niema, jako się odkryłem

Samemu sobie, bo, aż do tej chwili,
Dla mnie samego byłem nieznajomym.
Nie znałem mego królewskiego rodu.
Mnichem wśród mnichów zastała mię chwila
W brzaskach jutrzenki mojej samowiedzy,
Gdym marniał w srogiej klasztoru klauzurze.
Pętom klasztoru potężnie się oparł
Odważny duch mój, a krew ma rycerska
Zawrzała ogniem, pierś mi rozsadzając.
Habit zakonny zrzuciłem stanowczo;
Dopadłem Polski, gdzie mię zacny Książę,
Pan Sandomierski, prawy, ludzki człowiek,
Przyjął gościnnie w miły dom książęcy
I wychowywał w rycerskim zawodzie.

ARCYBISKUP GNIEŹNIEŃSKI.

— — — — Jakto być może? Nie znaliście siebie?
Toż w owym czasie rozeszły się wieści
Po świecie całym, że Kniaź Dymitr żyje?!
Car Borys zadrżał — kazał porozstawiać
Swoich siepaczy nad całą granicą,
Którzy każdego przechodnia badali.
Cóż? Czyż te wieści nie przez Was szerzono?
Więc nie podaliście się wy za Dymitra?

DYMITR.

Jako wiem, mówię. A jeżeli wieści
O mem istnieniu krążyły — to chyba

Sam Bóg je szerzył; ja siebie nie znałem.
Służąc w pałacu Wojewody skromnie
I w gronie służby będąc zaginionym,
Przeżyłem piękne, młode lata swoje.
— — — — Cichym hołdem,
Będąc prostakiem, śliczną córę pana
Ja ubóstwiałem — i anim zamarzył,
By podnieść oczy na tak wielkie szczęście. —
Namiętność moja została wykrytą
Przez pretendenta do jej lubej ręki —
Pana Lwowskiego — ha, i — — obrażoną!
Wyniosły pychą, czyni mi wyrzuty,
I w groźnej pasyi on we mnie uderza!
Pohańbion srodze — chwytam broń nabitą,
On zaś we furyi godzi we mnie szpadą,
I ginie z mojej niepowściągłej ręki.

MNISZECH.

Tak było w istocie. — — — —

DYMITR.

Nieszczęście moje dobiegło zenitu!
Sam — bez nazwiska, Rus, obcokrajowiec,
Magnata Polski mą ręką zabiłem;
Jam tu mordercą! W tak gościnnym domu
Mojego pana — — a i dobrodzieja!!
Z mojej to ręki padł jego przyjaciel
I zięć wybrany — — przyszła chluba rodu — — —

Niewinność moja na nic się nie zdała;
Służby w s t a w i a n i e za mną nie pomogło,
Szlachetność Pana darmo mię tłumaczy,
Wszystko daremnem — — byłem więc zgubionym...
Bo prawo łaski — tylko dla Polaka,
Ale nie dla mnie — bom nie syn tej ziemi...
I wyrok zapadł — — bym padł z ręki kata! —
Chwilę przed śmiercią, gdy już umrzeć miałem,
Zgiąwszy kolana — tuż — przy kata bloku,
Odsłaniam szyję — by dać kark mieczowi. — — —
Błysnął krzyż złoty, z mej szyi zwieszony,
Blaskiem kamieni, które go zdobiły,
Co w dniu chrztu mego na szyję mi dano.
Znak odkupienia — jak nam zwyczaj każe,
Nosiłem zawsze na szyi w ukryciu
Od lat dziecięcych — i w tej właśnie chwili,
Kiedy mi przyszło słodkie dni zakończyć,
Schwyciłem godło — moje pocieszenie,
Tuliłem do ust z modły gorącemi. — — —

(Polacy okazują grą twarzy swe współczucie.)

Klejnot ujrzano — a ta jego świetność,
Jego bogactwo wywołuje podziw;
Budzi ciekawość..! Pęta moje zdjęto,
Mnie zaś pytano: od kiedy to noszę?
Nie zapamiętam, kiedy to dostałem,
Zawszem go nosił... Dalej już wypadek
Wszystko wyświetlił. — Trzech synów bojara,

A jako stali — do nóg mi przypadli
Bijąc pokłony owi bojarowie.

Którzy przed Cara pościgiem umknęli,
Przybyło na dwór pana na Samborze;
Ci, widząc klejnot, zaraz go poznali
Po przegradzanych szmaragdach dziewięciu
Ametystami, — że to krzyż ten sam jest,
Jaki młodszemu synowi Iwana
W dniu chrztu świętego na szyi zawiesił
Kniaź Micisławski. — — — — — —

Zdumionem okiem mi się przyglądają,
Znajdując dziwnym natury wybrykiem
Mieć prawe ramię krótszem od lewego.
Skoro mię dalej pytaniami straszą,
Co do przeszłości, na myśl mi przychodzi
Mały psałterzyk, com w ucieczce nosił. — — —
W tym psałterzyku stały greckie słowa,
Wpisane własną Ihumena ręką.
Jam ich nie czytał, bo nie znam tej mowy.
Psałterz przyniosłem — pismo odczytano,
Jak następuje: „Brat Wasil Filaret
(Tem mianem na mnie wołano w klasztorze)
„Właściciel psałterzyka jest Dymitrem,
„Cara Iwana prawowitym Synem,
„Uprowadzonym przez djaka Andreja
„Z Uglicza owej strasznej nocy mordu.
„Właściwe dokumenty są złożone
„W dwóch monastyrach...“ które wymieniono.
A jako stali — do nóg mi przypadli,
Bijąc pokłony owi bojarowie,
Takich dowodów siłą przekonani,
Witając we mnie prawdziwego Cara.
I tak to, w chwili najcięższej mej doli,
Los mię przerzucił na szczęścia wyżyny.

ARCYBISKUP GNIEŹNIEŃSKI.

— — — — — — — — — — —

DYMITR.

W tej chwili spadły z oczu moich łuski!
Dawne wspomnienia odrazu ożyły
W głębi tajemnej chwil dawno minionych.
A jako szczyty wieżyc w sinej dali
Widnieją w blaskach słońca — tak i we mnie
Dwie się postacie jasno wyłoniły —
Świetlane szczyty mojej samowiedzy.
Widzę się w drodze, podczas nocy ciemnej:
Po za mną pożar srodze rozszalały
I straszny grozą na tle czarnej nocy.
Musiały to być dawne me wspomnienia,
Bo co się przedtem — co się potem działo,
O tem zupełnie pamięć ma nie mówi.
Tak oderwanie, samoświecąc, stała
Ta straszna chwila w lazurach pamięci;
Jednak z późniejszych lat zapamiętałem,
Gdy mię towarzysz w złości Carem przezwał,
Żem się obraził i za to go zbiłem.
Teraz myśl moja sobie przypomina
I widzę wszystko jasno, jak na dłoni,
Żem synem Cara, umarłym sądzony.
Tem jednem słowem wszystkie się zagadki
Ciemnego bytu mego rozwiązały.

Nie znaki tylko, które są zwodnicze,
Lecz głąb' mych uczuć — serca mego tętna,
Dowodem dla mnie, że we mnie krew Cara;
I raczej kropla w kroplę ją wysączę,
Zanim się zrzeknę praw do swej korony.

ARCYBISKUP GNIEŹNIEŃSKI.

Mamyż więc przyjąć za dowód to pismo,
Które przypadek może Wam darował?
Zawierzyć słowom tych kilkorga zbiegów?
Wybacz nam tutaj, szlachetny młodzieńcze!
Postawa, słowa, nie cechują-ć kłamcą,
Lecz to możebnem, że cię okłamano.
Można darować winę człowiekowi,
Gdy go w tak wielkiej sprawie oszukano.
Prawdzie słów swoich daj nam zakładników.

DYMITR.

Pół setki Piastów, wolnourodzonych,
Waszych współbraci, o życiu bez skazy,
Ja wam postawię, którzy pod przysięgą
Prawdę słów moich stwierdzą co do słowa.
Tam widzę siedzi Sandomierski Książę;
Przy boku jego Pan Kasztelan Lwowski,
Niech ci powiedzą, czym ja mówił prawdę.
— — — — — — — — — — —

ARCYBISKUP GNIEŹNIEŃSKI.

Cóż o tem sądzą zebrane tu Stany?
Siła takich dowodów mą wątpliwość
Usunęła zupełnie. — — — — — — — —
Głuche pogłoski oddawna już krążą,
Że syn Iwana, Dymitr, jednak żyje;
I sam Car Borys potwierdza swą trwogą. — — —
Tu staje młodzian — wiekiem i nauką,
I przypadkowym wybrykiem natury
Ma wygląd tego, którego szukają;
Godny on duchem tak szczytnego celu.
Dziwnie cudownie wychodzi z klasztoru,
Zdobny rycerską cnotą, pupil mnichów;
Ma cenny klejnot, co na Carewicza
Ongi włożono, z czem się nie rozstawał; —
Pobożnych ludzi pismo nam dowodzi,
Praw książęcego jego pochodzenia. — — —
Lecz więcej jeszcze: jego mowa prosta,
Czoło otwarte — biją siłą prawdy; — — —
Szalbierz takowych cech nie zapożyczy,
Bo, strojąc togą kłamanej wielkości
Siebie, ozdobi mowę w piękne słowa.
Ja mu już dłużej nazwiska słusznego,
Co mu z porządku i prawa należy
Zgoła nie przeczę. — — — — — — —
Mocą starego mego przywileju,
Ja, jako Prymas, daję mu głos pierwszy.

ARCYBISKUP LWOWSKI.

Ja za Prymasem głosuję.

WIELU BISKUPÓW.

My, jako Prymas!

WIELU WOJEWODÓW.

I ja!

ODOWALSKI.

I ja!

POSŁOWIE (szybko jeden po drugim).

I my także.

SAPIEHA.

— — — — Panowie! Bracia!
Dobrze to zważyć! Zwolna decydować!
Nie dać się wciągnąć! — — — — — — —

ODOWALSKI.

— — — — — — — — — Tu niema
Nic do namysłu, wszystko obmyślane,
Dowody mówią za nim niezwalczone,
Tutaj nie Moskwa, tu postrach despoty
Nie zahamuje wolnej myśli człeka.
U nas swobodnie, z podniesionem czołem,
Prawda się jawi — a nie śmiem przypuszczać,

BIBLIOTEKA

Szlachetni Bracia, by pomiędzy nami,
Tutaj, w Krakowie, na sejmie Polaków,
Miał Car Moskiewski swoich jurgieltników.

DYMITR.

Dzięki me przyjmcie, cni Senatorowie,
Żeście uznali te znamiona prawdy,
I jeślim dla was tym, kim być się mienię,
To nie dopuśćcież, by bezczelny rabuś
Dzierżył za swoją — moją ojcowiznę,
By kaził berło, które mnie jedynie,
Prawowitemu należy Carowi.
— — — — — — — — — — —
Prawo jest za mną, w waszych ręku siła,
A wszakże główną racyą państw na świecie
I wszystkich tronów — by przestrzegać prawa;
By każdy posiadł, co mu przynależy.
Bo gdzie panuje prawo w całej sile,
Tam się każdemu swa scheda dostaje;
Nad każdą strzechą i nad każdym tronem
Jest tylko prawo — jak straż z Cherubinów. —
— — — — — — — — — —
— — — Prawo — a toż to prawem
Zwiemy misternie sztuczne świata stropy,
Gdzie wszystko jednem — jedno wszystkiem stoi
I gdzie z tem jednem wszystko runie, padnie!
— — — — — — — — — — —

(Odpowiedzi Senatorów, którzy potakują Dymitrowi.)

DYMITR.

O, spojrzyj na mnie, ty sławny Zygmuncie,
Wielki Monarcho! Wejdź w samego siebie,
I poznaj w mojej — swoją własną dolę!
Doznałeś wszakże i ty smagań losu:
W lochu więziennym ujrzałeś świat Boży;
Twe oko najpierw na kratach spoczęło;
Ty miałeś swego oswobodziciela,
Co cię z tych lochów na tron wyprowadził,
Tyś doznał jego wspaniałomyślności;
Użyj jej dzisiaj dla mnie. — — — — — —
— — — — — — — — — —
I wy, dostojni mężowie Senatu,
Zacni Biskupi — filary Kościoła,
Wojewodowie i Kasztelanowie!
Nadeszła chwila, by czynem szlachetnym,
Pogodzić ludy, tak dawno zwaśnione.
Przysporzcież sławy — niech ramię Polaka
Da Moskwie dzisiaj własnego jej Cara;
A tak z sąsiada, co was nękał wojną,
Wdzięcznego sobie stwórzcie przyjaciela!
— — — — — — — — — Wy zaś
Posłowie świetnej Rzeczypospolitej,
Siodłajcież prędzej swoje rącze konie!
Na koń! Waszego szczęścia złote bramy
Stoją otworem! Z wami to jedynie
Dzielić się będę łupem swego wroga.
Moskwa bogata! Skarb mój nieprzebrany,

Bogactwem złota i drogich kamieni
Przyjaciół szczodrze darzyć chcę i mogę;
A skoro Carem w Kremla wstąpię progi,
Wtedy — a na to wam przysięgę składam,
Że najuboższy, co za mną podąży,
Posiądzie atłas i futra sobole,
Drogiemi perły rynsztunki ozdobi,
A srebro będzie najpodlejszym kruszcem
Jakim podkuje kopyta swych koni!

(Pomiędzy posłami powstaje ogromne poruszenie).

KURELA, hetman kozacki,

oświadcza się z gotowością stawić mu swe wojsko.

ODOWALSKI.

Miałżeby Kozak wziąć nam sławę, łupy?
— — — — — — — — — — —
Mamy przymierze z Chanem Tatarzynem,
Z Turkiem i Szwedem pokój zapewniony.
Dawno już trawi się nasza odwaga;
W gnuśnym spokoju miecz nasz już rdzewieje!
Na koń! W Caratu wpadnijmy granice,
Zjednajmy sobie wdzięczność sprzymierzeńca,
Podnosząc wielkość i potęgę Polski.

WIELU POSŁÓW.

Wojna! Wojna z Moskwą!

INNI.

— — — — — — Wojnę stanówmy;
Zbierać głosy! — — — — — — —

SAPIEHA (powstaje).

— — — — — — Wielki Kanclerzu,
Nakaż milczenie — proszę o głos.

WIELU POSŁÓW.

Wojna! Wojna z Moskwą!

SAPIEHA.

— — — — — — Ja żądam głosu!
Marszałku! Władzy swojej użyj!

(Wielki hałas w Izbie i po za nią.)

WIELKI MARSZAŁEK KORONNY.

— — — — — Ty widzisz, Panie:
To daremne.

SAPIEHA.

Co?! I marszałek także przekupiony?
Czyż już wolności na tym sejmie niema?
Rzuć swoją laskę — i nakaż milczenie!
Ja o to proszę — ja wymagam tego!

WIELKI MARSZAŁEK KORONNY
(rzuca laskę na środek sali, zgiełk ustaje).

SAPIEHA.

Co zamyślacie? Co chcecie stanowić?
Czyż nie żyjemy w głębokim pokoju
Z Moskiewskim Carem?
W własnej osobie — ja — poseł królewski,
Jam to utworzył sojusz lat dwudziestu;
Moją prawicę jam w Kremlu podnosił —
Wzywałem Boga na świadka przysięgi!
A Car nam wiernie dochował traktatu!!
Czyż uroczyste śluby, czyż traktaty,
Na to są, by je sejm rwał bez powodu?!

DYMITR.

Ha! Mości książę Sapieho! Ten pokój,
Co to mówicie, żeście z Carem Moskwy
Zawarli — tego niema — bo ja Carem;
We mnie majestat Moskwy — bom Iwana
Synem — Ruryków spadkobiercą tronu!
Jeżeli Polska chce z Moskwą pokoju —
Ze mną go zawrzeć winna, bo ten traktat
Jest fałszem, iż go pisało bezprawie!

ODOWALSKI.

A cóż nas wreszcie wasz traktat obchodzi?!
Wtedy chcieliśmy tak, dzisiaj inaczej.

SAPIEHA.

Więc aż do tego doszło? Więc nikogo
Niema, coby w obronie stanął prawa?

Ja zatem przerwę tę fałszu tkaninę!
Ja wam odkryję prawdę nagą — znaną!
Zacny Prymasie! Co? Czyś ty naprawdę
Tak dobrodusznym — czy jeno udajesz
Taką wiarę? Senatorowie! Królu!
Czyś osłabł? Nie wiesz, czy też wiedzieć nie chcesz,
Żeście igraszką dumy wojewody
Sandomierskiego — co nastawił Cara,
Ambicji niezrównanej — co zamyśla,
Że już pochłonął tę bogaczkę-Moskwę!
Więc mnie już tu potrzeba, bym powiedział,
Że oni układ mają pod przysięgą;
Że mu zaręczył swą najmłodszą córkę!
Rzeczpospolita chciałażby tak na ślepo
Rzucić się w grozę niebezpieczeństw wojny,
By wzmódz potęgę swego Wojewody?
Córkę kreować Carową, Królową??! —
Wszystkich przekupił, na wszystkich ma rękę:
Wiem, że sejm walny chciałby opanować;
Stronnictwo jego jest tutaj potężnem
W senatu Izbie — a nie dosyć na tem,
Ze w walnym sejmie panuje większością,
On go najechał w trzy tysiące koni,
I cały Kraków powodzią swych ludzi
Zalał — a jak to tutaj widzieć można,
Jurgieltnik jego roi się w tym domu,
By zgwałcić świętą wolność głosowania!
Lecz żadna bojaźń mi tutaj nie złamie

Odwagi serca, co bije dla krajū;
Dopóki krew mi w żyłach jeszcze tętni,
Stanę na straży wolności sumienia!
Kto z was cnotliwy, niech do mnie przechodzi,
Bo — póki życia we mnie — nic z uchwały
Przeciwnej prawu, a i rozsądkowi;
Jam zawarł z Moskwą przymierze pokoju,
Jam po to mężem, by je dotrzymano.

ODOWALSKI.

Ktoby tam zważał! Dalej, zbierać głosy.

BISKUPI KRAKOWSKI I WILEŃSKI
wstają i zstępują każdy po swej stronie, by zbierać głosy.

WIELU.

Wojny! Wojny z Moskwą!

ARCYBISKUP GNIEŹNIEŃSKI (do Sapiehy).

— — — — — Ustąp, szlachetny panie,
Widzisz, że większość nie po twojej stronie,
Więc nie dopuszczaj złego rozdwojenia!

WIELKI KANCLERZ KORONNY (schodzi ze stopni tronu do Sapiehy).

Król waszmość prosi, abyś pofolgował,
Byś, wojewodo, nie rozrywał sejmu.

ODŹWIERNY (tajemniczo do Odowalskiego).

Macie się trzymać dzielnie — to zwiastują
Bracia z przed bramy: cały Kraków z wami!

WIELKI MARSZAŁEK KORONNY (do Sapiehy).

Plon głosowania wykazuje jedność;
Ustąp — a rozważ także dobro drugie,
Jakie zapewnia zgoda — — bądź z większością!

BISKUP KRAKOWSKI.

Po prawej stronie głoszą wszyscy: „Wojna“!

SAPIEHA.

Chociażby wszyscy chcieli — ja tu przeczę!
Ja wołam „veto“! I zrywam uchwałę:
Ani mi krokiem naprzód! Wszystko niczem,
Wszystko zerwane, co postanowili!

(Ogólne poruszenie; Król schodzi z tronu, barjery połamano, chaotyczne zamieszanie. Posłowie dobywają szabel i skierowują je, tak z prawej, jak i z lewej strony, przeciw Sapieże. Biskupi zastępują drogę obu stronom i bronią go, osłaniając sobą).

— — — — — — — — Większość?!
Cóż znaczy większość? Większość — to głupota!
Zawsze tak było, że rozum ma mniejszość.
Ten, co nic nie ma, nie zna co to — ogół;
Żebrak — czy wie, co wolność — zna, co wybór?
On musi możnym, co za niego płacą,
Za chleb, za buty — sumienie swe sprzedać;
Głosów nie racya liczyć — trzeba — ważyć;
To państwo musi runąć, prędzej, później,
Gdzie górą większość, a głupi rozstrzyga.

ODOWALSKI.

Słyszycie zdrajcę?!!

POSŁOWIE.

Brać go na szable! Porąbać w kawały!

ARCYBISKUP GNIEŹNIEŃSKI
(wyrywa kapelanowi krzyż z ręki i zasłania nim Sapiehę).

— — — — — — — Spokój!!
Czyż tu krwi bratniej trza, by obryzgała
Sejm? Mości Sapieho, pohamuj swój gniew!

(do Biskupów)

— — — — — — — Wyprowadźcie go,
Bądźcie mu tarczą, zasłońcie tę głowę.
Bocznemi drzwiami usunąć go cicho —
By go ta fala w sztuki nie porwała!

(Sapiehę, wciąż jeszcze rzucającego gniewne spojrzenia, wyprowadzają biskupi gwałtem, gdy Arcybiskup Gnieźnieński i Lwowski odpierają napierających posłów. Z wielkim hałasem i pobrzękiwaniem szablami opróżnia się sala, tak, że pozostają tylko: Dymitr, Mniszech, Odowalski i hetman kozacki).

ODOWALSKI.

To nam chybiło — — — — — —
I też dlatego nie mamy pomocy:
Choć Respublika z Moskwą pokój trzyma, —
My to zrobimy własnemi siłami.

KURELA.

Któżby to był przypuszczał, że sam
Zerwać zdoła uchwałę?!...

Słyszycie zdrajcę?!! Brać go na szable! Porąbać w kawały!

MNISZECH.

Król idzie!

Król Zygmunt (w towarzystwie Wielkiego Kanclerza, W. Marszałka Koronnego i kilku Biskupów).

KRÓL.

Książę! Niech Cię uścisnę!
Nareszcie — zacna ta Rzeczpospolita,
Wraca Ci prawa, — serce moje — dawno.
Los Twój głęboko pierś moją poruszył,
I wszystkich królów zarówno obchodzi.

DYMITR.

Dziś wszystko zapomniałem, com przechodził,
Na sercu Twojem czuję — żem się zrodził
Na nowo.

KRÓL.

Prawić nie lubię — lecz co jako król,
O większej liczbie ludu, jak mój,
Uczynić zdołam, to Wam ofiaruję.
Jak wielce przykrej świadkiem byłeś sceny;
Ale dla tego nie sądź Polski gorzej,
Że dzika burza nawę Państwa tłoczy.

MNISZECH.

Z tej burzy wichru sternik wnet skorzysta,
I łódź zawiedzie do pewnej przystani.

KRÓL.

Sejm jest zerwany — i chociażbym pragnął,
Pokoju z Carem mnie nie wolno zrywać:

Potężnych masz przyjaciół. Jeśli Polak,
Na swe ryzyko dla Cię chce się zbroić,
Kozak odważyć na grę w szczęście wojny,
Lud to jest wolny — zabronić nie mogę.

MNISZECH.

Wszak cały rokosz jeszcze zbrojny stoi,
Z wolą Twą, Panie, można dziką rzekę,
Co się na Waszą Wysokość wezbrała,
Rozlać bezkarnie na moskiewskie pola!

KRÓL.

Najlepszej broni oczekuj od Rusi;
Najtwardszą tarczą — to serce narodu!
Ruś już Ruś samą napewno pobije:
I tak, jak dzisiaj na sejmie mówiłeś,
Przemów tam — w Moskwie — do serca narodu.
Zdobądź to serce — a będziesz panował.
Wstąpiłem niegdyś w Szwecyi — Król rodzony,
Na tron w spokoju — bo był mój dziedziczny,
A jednak państwo Ojców utraciłem,
Bo duch narodu nie był mi przychylnym.

MARYNA (wchodzi).

— — — — — — — — — — —

MNISZECH.

O Majestacie, do stóp Twoich pada
Moja Maryna — najmłodsza ma córa;

Książę, Pan Moskwy — darzy ją swem sercem:
Tyś chaty naszej najwyższy Opiekun;
Z Waszej Królewskiej ręki to jedynie
Przystoi dla niej, by małżonka brała.

MARYNA (klęka przed królem).

KRÓL.

Dobrze, mój Bracie! Skoro to wam miłem,
Więc zamiast Cara, ja Ojca zastąpię.

(Do Dymitra, któremu oddaje rękę Maryny)

W tej pięknej zakładniczce daję Tobie
Szczęścia wesołą boginię. — Ach — oby
Oczy moje ujrzały piękną parę,
Siedzącą w Moskwie na Carowym tronie!

MARYNA.

Z pokorą wielbię łaskę Twoją, Panie —
I niewolnicą Twą jestem, gdzie będę.

KRÓL.

Powstań, Caryco! Gest ten nie dla Ciebie,
Nie narzeczonej Cara przynależy,
Ni najpierwszego Wojewody córze.
Najmłodszą będąc między swemi siostry,
Umysłem jednak wyprzedzasz fortunę — —
Do najwyższego dążysz wielkodusznie!

DYMITR.

O Królu Wielki! — Wysłuchaj przysięgi:
Składam ją, książę, w Twe królewskie dłonie!
Rękę szlachetnej dziewicy przyjmuję,
Cenną rękojmię szczęścia, i ślubuję:
Skoro na tronie mych Ojców zasiędę,
Mą narzeczoną uroczyście zabrać, —
Jak się to wielkiej Królowej należy;
Podarkiem ślubnym oddaję mej Pani
Tak księstwo Pskowskie, jak Wielki Nowogród,
Z wszystkiemi miasty, wsiami, mieszkańcami —
Z prawami suwerena i władzami,
Na własność, w wieczne czasy posiadanie —
A darowiznę tę, będąc już Carem,
Potwierdzę w własnej mej stolicy — Moskwie.
Zaś Wojewodzie wypłacić polecę,
Z racji uzbrojeń, milion dukatów,
Stempla polskiego — — — — — —
Tak mi dopomóż, Wszechmogący Boże,
Jakom przysięgę złożył i dotrzymam!

KRÓL.

Tego Ty nigdy, nigdy nie zapomnij,
Coś szlachetnemu winien Wojewodzie,
Co swoje pewne szczęście — waszym planom,
I drogie dziecię przynosi w ofierze;
Bo przyjaciela rzadkiego trza cenić!
A więc, jeżeli będziecie szczęśliwi,

Nie zapomnijcież, po jakiej drabinie
Wspiąłeś się na tron! — — — — — —
Wraz z zmianą sukni nie zmieniajcie serca;
Pomnijcie, żeście w Polsce się odkryli;
Żeś się w tym kraju po raz wtóry zrodził...

DYMITR.

Toż sam dojrzałem ja w prostaczym stanie,
I nauczyłem się szanować węzły,
Łączące człeka z człowiekiem wzajemnie.

KRÓL.

Wszakże wstępujesz teraz w kraje państwa,
Gdzie obyczaje i zwyczaje inne:
Tu — w krajach Polski — panuje swoboda,
Gdzie król, jakkolwiek najjaśniejszy blaskiem,
Musi potęgi szlachty bywać sługą.
Tam Samowładca — jest wyrazem prawa — —
Niewolnik służy bolesnym posłuchem.
— — — — — — — — — — —

DYMITR.

Tę piękną wolność, którą tu poznałem,
Pragnę przeszczepić do swojej Ojczyzny;
W wesołych ludzi zmienię niewolników,
Nie chcę ja władać duszami helotów.

KRÓL.

Nic działaj szybko! Ducha czasu słuchaj!
A na wyjezdnem weź me trzy nauki:

Stosuj je wiernie po powrocie w kraju;
Król ci je daje — on starzec, co wiele
Żył, a w latach młodych twych się przydać mogą.

DYMITR.

Naucz mię swej mądrości, Wielki Królu!
Ciebie szanują w swobodnym narodzie!
Jak mam postąpić, bym zyskał to samo?

KRÓL.

— — — — — Wracasz z obcych krain;
Ciebie wprowadza nieprzyjaciół zbroja;
Krzywdę tę pierwszą nagródź narodowi;
Daj się wnet poznać, żeś jest synem Moskwy,
Darząc uznaniem kraju obyczaje!
Słowa Polsce dotrzymuj, ją zaś szanuj,
Na nowym tronie druh wierny potrzebny;
Kto cię wprowadził — także zgubić może.
Ceń go, lecz naśladować ja nie radzę,
Obyczaj obcy nie popłaca w kraju.
— — — — — — — — — — —
Lecz, przedewszystkiem — uszanuj twą matkę —
Tam matka ciebie czeka. — — — — — —

DYMITR.

Królu mój dobry!

KRÓL.

Powód masz wielki, byś ją czcił, jak dziecię!
Czcij ją! — Pomiędzy narodem a tobą,

Ona ci drogim i najświętszym węzłem.
Wolnym świat carów od kodeksu ludów
Dla niego nic strasznego — — prócz — natury.
Lepszej rękojmi ponad człowieczeństwo —
Nad miłość twą do matki — kraj twój nie wynajdzie.
Więcej nie mówię — nieco pozostało.
Nim złote runo sobie ty zdobędziesz,
Nie licz na łatwe sprawy swej zwycięstwo —
Car Borys rządzi powagą i siłą;
Walkę mieć będziesz z nielada umysłem;
Kto się zasługą tronu dobić zdołał,
Tego opinja nie tak łatwo zwali,
Bo czyny jego — to jego przodkowie.
Twej gwiazdce szczęścia chętnie cię polecam —
Po dwakroć ona cudownym sposobem
Z rąk śmierci ciebie już wyratowała;
Dzieła dokończy — da ci laur na skronie.

Maryna. — Odowalski.

ODOWALSKI.

Cóż, panno? — czy dobrze twe rozkazy
Spełniłem? — gorliwość mą, czy chwalisz?

MARYNA.

Wybornie — żeśmy sami, Odowalski;
Poważne sprawy mamy tu omówić,
Których nie lża znać księciu. — Niechaj

Za wolą Bogów dąży, gdzie go pchają!
Niech wierzy w siebie, — to mu świat uwierzy.
Zostawić nam go należy w ciemności,
Bo ona zawsze matką wielkich czynów.
My zaś musimy jasno widzieć, działać;
On daje sztandar i cały swój zapał,
My zaś za niego to — co zwą — rozwagą;
A skoro, w myśl rachuby, skutek dobry
Zapewnim sobie — niechże mu się zdaje,
Że mu to samo z nieba pewno spadło.

ODOWALSKI.

Rozkazuj pani! By ci służyć — jestem;
Cóż mię obchodzi ta sprawa Moskwity?
Dla ciebie, twej potęgi, wspaniałości
Dyszę — i dam z ochotą krew i życie.
Całe me licho, żem biedny, nie wolny;
Mych oczu k'tobie podnieść nie mam prawa,
Lecz pragnę sobie twą łaskę wysłużyć,
A mem marzeniem jest, by wynieść ciebie.
Niech tam już ciebie kto inny posiędzie,
Tyś i tak moją — boś jest dziełem mojem.

MARYNA.

Dla tego ja ci ufam sercem całem,
Boś mąż, ktoremu dzieło me powierzam.
Król myśli zwodnie. — Jam go przeniknęła;
Cała ta scena z Sapiehą — to była
Ukartowana. Bo Król pragnie silnie,

Znając moc ojca, której się obawia,
By go impreza taka osłabiła.
By związek szlachty, co mu strasznie groził,
W tej obcej wojnie o wybuch przyprawić;
On jednak pragnie być w boju bezstronnym,
Lecz korzyść wojny pragnie dzielić z nami.
Skoro przegramy, tem łacniej mu przyjdzie,
Swe jarzmo Pana nam w Polsce nałożyć:
Stoimy sami — kości są rzucone,
On swojej, my pilnujmy naszej sprawy.
— — — — — — — — — — —
Wojsko prowadź na Kijów. Niech przysięga
Na wierność księciu, a i mnie — rozumiesz?!
Mnie! To ostrożności sprawą jest konieczną!

ODOWALSKI.

— — — — — — — — — — —

MARYNA.

Mnie tu potrzebnem Twe ramię i oko.

ODOWALSKI.

Rozkazuj! Mów! — — — — — — —

MARYNA.

— — — — — — Poprowadzisz carewicza,
Na chwilę go nie odstąp! Pilnuj dobrze;
Z jego czynności wszelkich zdasz mi sprawę.

ODOWALSKI.

Polegaj na mnie, on się nam nie wymknie.

MARYNA.

Wdzięczność — to mara. Skoro będzie Carem,
Więzy swe wkrótce odrzuci daleko.
— — — — — — — — — — —

Maryna, Odowalski, Opaliński, Bielski i wielu z polskiej szlachty.

OPALIŃSKI.

Patronko, zasil kieski — pójdziem z tobą;
Przewlekłość sejmu prawie nas strawiła;
Z pomocą naszą tyś Rusi carową.

MARYNA.

Biskup z Kamieńca i Chełmu pożyczy
Na wasze włości i ludzi monety.
Zastawiaj, sprzedaj swe dworki, zaścianki,
Stop i zakupuj tak konie, jak zbroje!
Najlepszym kupcem wojna, ona zmienia
Żelazo w złoto. — Cobyście stracili
Tutaj, to w Moskwie znajdziesz dziesięćkrotnie.

BIELSKI.

Dwustu ich jeszcze siedzi tam w gospodzie;
Udaj się do nich, kubek wina przepij,
Oni są Twoi — znam ich.

MARYNA.

Poczekaj na mnie, zawiedziesz mię do nich.

OPALIŃSKI.

Zaiste na królową tyś zrodzona!

MARYNA.

Tak jest choćby dla tego nią być muszę.

BIELSKI.

— — — — — — — Dosiądźże
Sama białego bachmata, włóż zbroję:
A jako ongi Wanda, tak ty prowadź
Swe mężne wojsko na pewne zwycięstwo!

MARYNA.

Duch mój was wiedzie. Wojna nie dla kobiet.
A punktem zbornym Kijów! Tam dociągnie
Ojciec mój w swoich trzy tysiące koni;
Szwagier da dwa tysiące, a z nad Donu
Ściągną na pomoc kozaccy mołojce;
Przysięgacie mi wierność?

WSZYSCY.

Tak! przysięgamy!

(dobywają szabel).

JEDNI. INNI.

Vivat, Maryna! Russiae regina!

(Maryna rozdziera swój welon i rozdaje strzępy pomiędzy szlachtę. Wszyscy wychodzą prócz Maryny).

Mniszech. — Maryna.

MARYNA.

Cóż tak ponuro, ojcze?! — otóż szczęście
Nam się uśmiecha, krok każdy udaje,
Oręże wszystkie już się dla nas zbroją!?

MNISZECH.

Otóż to, moje dziecię! Wszystko, wszystko,
Na jedną kartę — a w tem to zbrojeniu
Ojca się twego siła wyczerpuje!
Mam bodaj powód, by się zastanowić?
Fortuna ślepa — a skutek wątpliwy.
— — — — — — — — — — —

MARYNA.

— — — — — — — — — — —

MNISZECH.

O dokądżeś to — dziewczę niebezpieczne —
Mię ty zawiodła?! Com za słaby ojciec,
Żem naleganiom Twoim się nie oparł.
Jam tu po królu najpierwszą potęgą
Władzą i mieniem. Na Boga, czyżbyśmy,
Nie byli winni tem się zadowolić
I w spokojności używać tych darów?!
Ty dążysz wyżej, stanowisko średnie—
Jak Twych siostrzyczek — cię nie zadowala.
Ty zapragnęłaś największej wyżyny

Na tym padole, by kroczyć w koronie;
Ja, nazbyt słaby ojciec, chciałbym tobie,
Najdroższa córo moja, wszystko złożyć;
Lecz prośbom twym się oprzeć nie mam siły...
I to, co pewne — — na hazard narażam!

MARYNA.

Jak to, mój ojcze? — żal ci twej dobroci?
Któż się drobiazgiem zadowolić zechce,
Skoro potęgę nad głową swą czuje?!

MNISZECH.

Przecież twe siostry, chociaż bez korony,
Szczęśliwe. — — — — — — — —

MARYNA.

Cóż mi za wielkie szczęście — módz zamienić,
Dom swój ojcowski — na dom swego męża,
Gdzie wojewodą, tak mąż, jak i ojciec;
Cóż mi nowego z tej zamiany przyjdzie?
Dniu dzisiejszemu mogęż się radować,
Że mi to samo przyniósł, co wczorajszy?
Ach, jak mi wstrętnym ten powrót dawnego!
Jak wiecznie nudną tożsamość jestestwa!
Czyż warte trudu wiecznie czekać, dążyć?
Miłość, lub wielkość — to tylko być musi,
Reszta, zaiste, jest mi równie gminną!

MNISZECH.

— — — — — — — — — —

MARYNA.

Rozpogódź swe oblicze, drogi ojcze!
Powierzmy się więc falom, co nas niosą!
Ty nie myśl o ofiarach, co składamy,
Lecz o nagrodzie — o dojściu do celu.
Myśl o tem, jak twą córę tam obaczysz
W Moskwie carową — w koronie na głowie;
Jak ujrzysz wnuki twe władnące światem.

MNISZECH.

Ja nic nie myślę, nie widzę — prócz ciebie,
Me lube dziewczę — w świetlanej koronie.
Ty żądasz — ja ci odmówić nie mogę.

MARYNA.

Mam jeszcze prośbę, drogi, luby ojcze,
Przychyl się do niej. — — — — —

MNISZECH.

Czegoż żądasz, dziecię?

MARYNA.

Czyż mam tu siedzieć w murach Sandomierza
Z tęsknotą w piersi niepohamowaną?
Za Dnieprem kości o mych losach padną —
Bez końca przestrzeń mię od nich tam dzieli!
Czyż ja to przetrwam? Duch mój niecierpliwy
Nie zniesie tortur tego tu czekania;

A tej przestrzeni bezgraniczną długość
Wypełni męka trwogi — bicie serca...

MNISZECH.

Więc czego pragniesz? Czegoż życzysz sobie?

MARYNA.

Pozwól na skutek czekać mi w Kijowie;
Tam to u źródła nowin czerpać mogę,
Tam nad obudwóch państw granicą —
— — — — — — — — — — —

MNISZECH.

Straszliwie rwie twój umysł; ty go hamuj!

MARYNA.

Co? więc pozwolisz? Ty mię tam zawieziesz?

MNISZECH.

Ty mię zawiedziesz! Czyż co chcesz, nie muszę?

MARYNA.

Ojcze serdeczny, gdy będę carową
Moskwy — granicą naszą będzie — Kijów!
Kijów mój będzie, ty w nim zapanujesz.

MNISZECH.

Majaczysz, dziewczę! Już ci wielka Moskwa
Dla twego ducha ciasną? — pragniesz kraju
Kosztem własnej Ojczyzny? — — — —

MARYNA.

— — — — — — — — Kijów
To nie dziedzictwo tej naszej Ojczyzny;
Tam to Waregów książęta rządziły.
Dawne kroniki mam dobrze w pamięci.
Od Państwa Rusi został oderwanym!..
Dawnej go nazad przywrócę Koronie.

MNISZECH.

Sza! Wojewoda słyszeć nie powinien!
(słychać trąbkę).
Ruszają! — — — — — — — — —

AKT DRUGI.

SCENA PIERWSZA.

Widok staro-greckiego monastyru — w pustej, zimowej okolicy, nad jeziorem Białem. Kondukt *mniszek* w czarnych sukniach i welonach przechodzi w tyle przez scenę. *Marfa* w białym welonie stoi oddzielnie, oparta na kamieniu grobowca. *Olga* występuje z konduktu, zatrzymuje się przez chwilę, by na nią popatrzeć, poczem zbliża się do niej.

OLGA.

Czyż cię twe serce z nami równocześnie
Nie pcha na pola zbudzonej przyrody?

Słonko powraca, noc ponura ginie,
Lody rzek pękły, a na miejsce sanek —
Łódki... a ptactwo wędrowne przelata;
Świat się roztworzył i nas wszystkie nęci
Na nową rozkosz z ciasnych murów celi,
W pełną pogodę odmłodzonej niwy...
Ty tylko nie chcesz, w bolu skamieniała,
Ogólnej wesołości z nami dzielić?

MARFA.

Zostaw mię samą — zdążaj za siostrami;
Rozkosz dla tego, co jeszcze śnić zdoła;
Mnie zmiana pory, co cały świat młodzi,
Nic dać nie może, dla mnie wszystkiem — przeszłość;
Wszystko już leży — jak było — po za mną.

OLGA.

Wiecznie ty płaczesz i żałujesz syna,
Dawnej, straconej świetności? A czyżby
Czas, on balsam, co rany serc leczy,
Stracił swą własność li tylko dla ciebie?
Byłaś carową tak wielkiego państwa,
Matką synaczka, a którego tobie
Okrutnem losu zrządzeniem wydarto;
Ciebie wepchnięto w głąb' klasztornej celi,
Tu nad granicą, gdzie świat obumiera.
Szesnaście razy od dnia straszliwego
Oblicze świata już się odmieniło,
Lecz tylko twoje wiecznie niezmienionem;

Tyś jedna grobem — a w około życie.— —
Patrzeć na ciebie — to jak na kształt głazu,
Co mistrz urobił z twardego kamienia,
By wiecznie znaczył to samo — to samo!..

MARFA.

Prawda — czasu to dziełem, żem się stała,
Posągiem mego straszliwego losu!
Ja uspokoić się nie mogę, nie chcę
Zapomnieć. — Duszę tę zwę — podłą,
Co uzdrowienie od czasu przyjmuje,
Liczman za twór bezcenny! Ja boleści
Zapłacić sobie niczem nie pozwolę.
Tak jak z wędrowcem nieboskłon wraz idzie,
Swą bezmiernością całego otacza,
Gdziekolwiek tylko kroki swe skieruje,
Tak boleść moja mię nie odstępuje...
Jam pochłoniętą przez niezmierne morze,
Którego płacz mój wieczny nie wypije.

OLGA.

Patrzaj no — chłopiec rybacki coś niesie,
Spójrz, jak się w okół niego siostry tłoczą;
On z dala idzie — z kresów zamieszkanych;
Pewno nowiny z ludzkich krain niesie. —
Żegluga już otwartą — drogi wolne. — —
Czyś nie ciekawą? nie raczysz posłuchać?
My, choć na równi dla świata umarłe,
Słuchamy chętnie o tem, co się dzieje...

Stojąc nad brzegiem jeziora możemy,
Zdala podziwiać — jak się iskrzą fale...

(Zakonnice powracają z chłopcem rybackim.)

KSIENIA HELENA.

Mów, opowiadaj, co nowego niesiesz!

ALEKSJA.

Co tam na zewnątrz wśród ludzi się dzieje?

RYBAK.

Dajcie do słowa przyjść, święte niewiasty!

KSIENIA.

Pokój, czy wojna?

ALEKSJA.

Któż tam rządzi światem?

RYBAK.

Okręt nadpłynął nam do Archangielska,
Hen, od bieguna, gdzie świat kamienieje.

OLGA.

Jak tam ten okręt wpłynął w dzikie morze?

RYBAK.

Angielski on jest, kupiecki ten okręt,
On nową drogę znalazł sobie łatwo.

ALEKSJA.

Na co dla zysku człek się nie odważy!

KSIENIA.

Więc świata znikąd niepodobna zamknąć?

RYBAK.

To jedna z nowin najmniej jeszcze ważna;
I co innego teraz kraj nasz wzrusza.

ALEKSJA.

O, powiedz, proszę!

OLGA.

Powiedz, co się stało?

RYBAK.

Po prostu dziwy na świecie się dzieją!
Zmarli powstają, a umarli żyją!

OLGA.

Objaśnij że to, mów!

RYBAK.

— — — Kniaź Dymitr — Syn Iwana,
Którego śmierci lat szesnaście płaczem,
Żyje — i w Polsce się ukazał.

OLGA.

Kniaź Dymitr żyje?

MARFA (zrywając się).

Mój syn?

OLGA.

— — — — Uspokój-że się, hamuj,
Zamknij swe serce dopóty, dopóki
My go zupełnie tu nie wybadamy!

ALEKSJA.

Jakże być może? — toż zamordowanym
Został w Ugliczu — toż zginął w płomieniach?!

RYBAK.

On wtedy uszedł z tej klęski pożaru.
W pewnym klasztorze znalazł on opiekę; —
Tam wzrósł w ukryciu, aż czas jego przyszedł,
Że się mógł zjawić — co też i uczynił.

OLGA (do Marfy).

Księżno, ty bledniesz — drżysz?!

MARFA.

Że to marzenie, wiem;—tak jeszcze mało
Jam skamieniała na bojaźń, nadzieję,
Że serce żywo w mej piersi kołace...

OLGA.

Czemuż marzenie? Lepiej go wysłuchać;
Zważ-no, pogłoska taka bez przyczyny
Rozchodzić się nie może!

RYBAK.

A jakże! Bez przyczyny? Toż za oręż chwycił
Już cały naród litewski i polski!
Drży Wielki Książę na swojej stolicy!

(Marfa trzęsie się całem ciałem i zmuszona jest oprzeć się na Oldze i Aleksji).

KSIENIA.

Mów-że, opowiedz nam wszystko, coś słyszał.

ALEKSJA.

Powiedz no, gdzieś ty te nowinki zebrał?

RYBAK.

Zebrał? Cóż znowu! Nam pismo przysłano,
Car przysłał list swój podległym mu krajom;
A pan posadnik to pismo nam w grodzie
Odczytał w obec zebranej gromady.
W niem napisano, że nas chcą okłamać,
My temu kłamstwu nie mamy uwierzyć!
My właśnie wierzym, bo jeśli to kłamstwo,
To by niem car nasz napewno pogardził.

MARFA.

Jest-że to spokój, który-m odzyskała?
Więc serce moje z czasem jeszcze trzyma,
Że puste słowo tak mną wstrząsnąć mogło?
Od lat szesnastu, opłakuję syna,
Naraz mam wierzyć, że on jeszcze żyje?

OLGA.

Tyś go mieniła lat szesnaście zmarłym,
Aleś popiołów jego nie widziała!
Nikt ci tej wieści naprawdę nie dowiódł.
Przecież Opatrzność czuwa nad losami —
Ludów i głów książęcych. — Otwierajże
Swe serce nadziei, bo więcej, niż myślisz,
Niż pojąć zdołasz — jest... Któż Wszechmocnemu
Granicę woli narzucić potrafi?

MARFA.

Miałażbym wzrok swój ku życiu skierować,
Któremu dawno dałam za wygrane?
— — — — — — — — — — —
Więc ma nadzieja nie była przy zmarłym?
Przestańcie mówić! — Niechaj serce moje
Do tej ułudy się nie przywięzuje — — — —
Nie czyń, bym syna raz wtóry traciła!
Spokój mój minął — już go nie posiędę...
Wieści uwierzyć trudno — lecz jej pewno
Na wieki wieków z duszy nie pozbędę!
Biada mi! Biada! I teraz dopiero
Syna utracam. — Bo gdzież go mam szukać?
Między zmarłymi, czy też wśród żyjących?
Wątpić bez granic — oto moja dola!

(Słychać dzwonek.) Siostra furtjanka wchodzi.

OLGA.

Na co to dzwonek dźwięczy furtjanko?

FURTJANKA.

Ksiądz arcypasterz zajechał przed bramę —
Wraca od cara, żąda posłuchania.

OLGA.

Ksiądz arcypasterz jest przed naszą bramą?
Cóż go sprowadza tak nadzwyczajnego?

KSIENIA.

Chodźmy go przyjąć według dostojeństwa.

(Idą do furty, w tem wchodzi Arcybiskup; wszystkie klękają przed nim na jedno kolano; on kreśli nad niemi znak krzyża, według ceremonjału obrządku greckiego.)

HIOB.

Pocałunek pokoju przyjmijcie w imię
Ojca i Syna i Ducha świętego,
Który pochodzi od Ojca!

OLGA.

— — — — — Panie! Z pokorą
My całujemy ojcowską twą rękę...
— — — — — Rozkazuj córkom!..

HIOB.

Do siostry Marfy mam ja posłannictwo.

OLGA.

Tu stoi Marfa... czeka na rozkazy.

(Wszystkie zakonnice wychodzą.)

Hiob. — Marfa.

HIOB.

Sam wielki książę mnie tutaj przysyła,
I na swym tronie on przypomniał ciebie...
A jak to słońce promienistem okiem,
Światłem, zupełnie cały świat obdarza,
Tak suwerena oko wgląda wszędzie;
I do najdalszych kresów państwa swego
Jego duch czujny, jego wzrok dosięga.

MARFA.

Gdzie jego ramię trafia — ja doznałam!

HIOB.

On zna wzniosłego ducha, co-ć ożywia,
Więc on współczuje z tobą uchybienie,
Jakie łotr pewien śmie tobie zgotować!

MARFA.

— — — — — — — — — — —

HIOB.

Uważaj! Szalbierz pewien w kraju Polsce,
Renegat, który swą przysięgę mnicha
Haniebnie zdeptał, Boga się wyparłszy,
Przywłaszczył sobie imię twego syna,
Którego sroga śmierć młodym zabrała.
Oszust ten głosi, że z twej krwi pochodzi,

Siebie podaje za syna Iwana!
Usłużny zaraz polski wojewoda,
Samozwańczego cara co go stworzył,
Wprowadza w państwa naszego granice;
Rwie pokój — Ruś tę wierną w błąd wprowadza,
Kusi do odstępstw — a i zbrodni stanu!
— — — — — — — Mnie przysyła,
Car nasz do ciebie w swe imię ojcowskie.
Wszak tobie drogie syna twego cienie!
Ty więc nie ścierpisz, aby czelny oszust
Miał dziecku twemu ukraść święte imię;
Głośno przed całym światem więc wypowiesz;
Że go za syna swego nie uznajesz,
Że krwi bękarciej cudzej nie chcesz karmić
Miłością serca, co w twej piersi bije;
Zaprzeczysz przeto tym wierutnym fałszom
Swą grozą wstrętu, jak tego potrzeba
Tego się car nasz po tobie spodziewa.

MARFA.

(Zwalcza podczas mowy Arcybiskupa najpotężniejsze uczucia.)

Arcybiskupie! Co słyszę? To prawda?
Powiedz, jakież to znaki i dowody
Daje ten śmiałek, ich siłą się świadczy,
Że synem Cara, co, umarłym sądząc,
My go żałujem?

HIOB.

Przez małe podobieństwo do Iwana,
Przez pismo, co mu przypadek darował,

Przez cenny klejnot, który okazuje,
Łudzi pospólstwo, gładko mu to idzie.

MARFA.

Cóż to za klejnot? Opowiedz mi — proszę.

HIOB.

Krzyż złoty, zdobny dziewięciu szmaragdy,
Co mu go książę Iwan Micisławski, —
Jak utrzymuje — przy chrzcie dał na szyję.

MARFA.

Co mówisz? To on ten klejnot posiada?
(Z wymuszonym spokojem:)
A cóż on mówi — jak on uciec zdołał?

HIOB.

Wierny djak i sługa miał mu pomódz,
Że uszedł mordu, płomieni pożaru,
Aż do Smoleńska go uprowadziwszy.

MARFA.

Lecz gdzież przebywał, gdzie, jak opowiada,
Że aż się do tej mógł ukrywać chwili?

HIOB.

On w Czudowskim klasztorze miał wyrosnąć,
Sobie nie znany, a ztamtąd do Litwy

I Polski uszedł, gdzie księciu Sambora
Służył, aż naraz wypadek go zdradził.

MARFA.

Z taką bajeczką chętnych znaleźć może,
Co mu poświęcą krew i mienie swoje.

HIOB.

Carowo! Polak, fałszywego serca
Patrzy z zawiścią na nasz rozkwit pewnie,
I każdy pretekst jest mu pożądanym,
By wojnę w naszych rubieżach rozpalić!

MARFA.

A czy i w Moskwie ma on wierne dusze,
Co łatwo padły ofiarą tej bredni?

HIOB.

Serce narodów jest chwiejnem, o księżno,
Lubi odmiany, oraz utrzymuje,
Że z nowym panem osiągnie korzyści.
Szalbierzy czelność łatwo tłum porywa;
Filut zyskuje przychylność i wiarę.
Życzeniem cara, byś obłędu ludu —
Jak to potrafisz — pozbawić raczyła.
Twe jedno słowo, a oszust, co synem
Twym być się chełpi, legnie zdruzgotany.
Cieszy mię iście widok, żeś wzburzoną!

Wstręt cię przejmuje na podłe manewry,
I lica twoje zapalił gniew srogi.

MARFA.

Gdzież on jest, powiedz — gdzie on się obraca,
Ten, co się synem moim śmie podawać?

HIOB.

Do Czernihowa on się już przybliża,
Z Kijowa mówią, że ruszył wyprawą;
Z nim to Polaków lekka jazda idzie,
Jak również wojska donieckich kozaków.

MARFA.

Najwyższe Niebo, dzięki, tobie, dzięki!
Nareszcie ślesz mi zbawienie i pomstę!

HIOB.

Co tobie, Marfo? — Jak to mam rozumieć?

MARFA.

O nieba, dajcie mi go tu szczęśliwie!
Zastępy niebios, brońcie mu sztandarów!

HIOB.

Czyż to możliwem? Co? Czy ciebie oszust...

MARFA.

On jest mym synem! Po tych wszystkich znakach
Poznaję go! Po cara twego trwodze —

Poznaję go! On — syn mój — żyje! — Idzie! —
Ha! — Precz mi z tronu, tyranie! — Drżyj teraz!
Żyje latorośl pnia Rurykowego, —
Car prawowity! Spadkobierca idzie...
Idzie! i żąda rachunków z opieki! —

HIOB.

Ha, obłąkana! — Czy ty wiesz, co bredzisz?

MARFA.

Nareszcie nadszedł dla mnie dzień mej pomsty!
Dzień restytucji! Niebo wydobywa
Z ciemnicy nocy niewinność na światło.
Musi Godunow — pyszny wróg śmiertelny,
Tu, u stóp moich błagać przebaczenia;
O! me gorące życzenia spełnione!

HIOB.

Czy cię nienawiść do tyla zaślepia?!

MARFA.

Czyż twego cara bojaźń tak zaślepia,
Że tu ratunku u mnie szuka? — u mnie,
Tak bezgranicznie przezeń obrażonej??!
— — — — — — — — — — —
Ja się mam zaprzeć syna, co go nieba
Cudownie dla mnie z grobu powołały?
Dla kogoż — zbója rodu? — by go bronić?
Tego, co boleść niewypowiedzianą

Mi sprawił?! I dla niego mam odepchnąć
Ratunek, co sam Pan Bóg w mych katuszach
Nareszcie mi zsyła? — — — — — — —

HIOB.

— — — — — — — — — — —

MARFA.

O, ty nie umkniesz! Musisz mię wysłuchać!
Ja ciebie trzymam — i nie puszczę ciebie; —
Nareszcie mogę w bolu duszy czerpać —
Wylać na zbója te jady trucizny,
Co mi wulkanem serce rozsadzają!
— — — — Kto ten, co mnie
Do grobu żywych, żywcem jeszcze wepchnął?
— Mnie — młodą, rzeźką — w mej młodości kwiecie;
— Mnie, strojną wzniosłej duszy uczuciami?
Któż mi oderwał od piersi dziecinę?
Kto nasłał zbirów, by mu pierś rozdarli?
O! żadna mowa tego nie wypowie
Ilem ja biedna przezeń wycierpiała!
Wielem gwiaździstych nocy przeczuwała
Z nienasyconą tęsknotą do dziecka!!
Łzami krwawemi godzin bieg liczyłam!...
Idzie nareszcie dzień zbawienia, pomsty —
A nikczemnika widzę w mojej mocy!!

HIOB.

Sądzisz, że car się ciebie lęka?

MARFA.

— — — — — — — — On jest —
Tak — on w mojej mocy; słowo jedno z ust mych,
Jedno, jedyne — los jego wiadomy!
Ot co! — Dlaczego pan twój śle cię do mnie?!
Cała Ruś, Polska — patrzą teraz na mnie;
Obie czekają, czy ja carewicza
Za swego i Iwana syna uznam.
Z hołdem dlań wtedy wszyscy, państwo — jego.
Gdy zaś się wyprę — natenczas — zgubiony;
Bo któż przypuści, aby własna matka,
Matka, jak jego, tak srodze dotknięta,
Mogła się zaprzeć serca wobec syna
W porozumieniu z mordercą jej rodu??
Me jedno słowo znaczy — a świat cały,
Rzuci się na szalbierza. Czy nie prawda?
Słowa tego chcą — tę wielką przysługę,
Przyznaj, mogę oddać Godunowowi!?

HIOB.

Ojczyźnie swojej całej ją wyrządzisz,
Wybawisz państwo z tej wojennej toni,
Skoro złożysz hołd prawdzie. Ty zaś sama
O śmierci syna bynajmniej nie wątpisz...
Mogłażbyś świadczyć wbrew swemu sumieniu??!

MARFA.

Przez lat szesnaście po nim jam płakała,
Popiołów jego nie widziałam nigdy.

Jam głosowi ogółu wierzyła, że umarł,
Ztąd mój żal... Teraz ja wierzę jak ogół,
I mej nadziei, że żyje — ja wierzę!
Ohydą nazwę: z zaciętą niewiarą
Chcieć Opatrzności granice stanowić! —
I — choćby niebył łona mego synem —
On będzie jednak synem mojej pomsty;
Więc — zamiast dziecka — ja go adoptuję.
Jako bicz pomsty, czem mię niebo darzy.

HIOB.

Nieszczęsna! Więc mocnemu się przeciwisz?
Przed jego ręką ty już ujść nie zdołasz,
A nawet klasztor cię tu nie osłoni.

MARFA.

Zabić mię może; zdoła me wołanie
Przytłumić grobem, lub nocą więzienia,
Aby po świecie nie rozbrzmiało echem;
On to potrafi! Lecz mi kazać mówić
To, czego nie chcę — nie zdoła; — ani
Chytrością twą coś wskóra — celu chybił!

HIOB.

Czy to ostatnie słowo twe? — Namyśl się;
Carowi lepszej nie mam nieść odprawy?

MARFA.

Niechaj liczy na niebo, jeśli wolno!
Na miłość ludu, jeśli to być może!

HIOB.

Dość! Pragniesz swej zguby — trudna rada!
Czepiasz się trzciny kruchej, co się łamie;
Z nią też więc w ręku osuniesz się na dno.

MARFA (sama).

To jest mój syn! — bo wątpić wszak nie mogę:
Już nawet dzikie ludy z wolnej puszczy
Zbroją się w imię jego — dumny Polak
I wojewoda poświęca swą córkę,
Licząc na szczerość złota jego sprawy.
Jabym się miała zaprzeć — jego matka??
Mnie tylko jednej nie porwałby orkan
Radości, co zawrotnie wsze ludy
Porusza i wstrząśnieniem ziemią miota?...
On jest mym synem — ja weń wierzę — pragnę...
Doń się przyczepię ze żywą ufnością,
Jak do ratunku deski z nieba danej!
On żyw! Tu dąży z wielką wojska siłą,
By mnie uwolnić — mą zniewagę pomścić!
Już jego bębny charczą, trąbki słychać z dala!
Pośpieszcież, ludy — z północy, południa.
Ze stepów waszych i bagien, i lasów!
Wszelakiej mowy i wszystkich ubiorów,
Na reniferach, wielbłądach i koniach...
Płyńcie, jak morskie fale, tu bez liczby!
Stańcie przy króla waszego sztandarach!
Czemuż te mury klasztoru mię więżą,

Opanowaną uczuciem bez miary!!
Ty, wieczne słońce, co ziemi okręgi
Obchodzisz — bądź mych pragnień wysłannikiem;
Ty, wszędy rozpostarte, niczem nie wstrzymane
Powietrze, co błyskawicznie i najdalszą
Pielgrzymkę kończysz — o zanieścież moją
Tęsknotę gorejącą dziecku memu!
Nic nie posiadam — prócz prośby, modlitwy;
Te pałające, czerpiąc z głębin duszy,
Uskrzydlone, wysyłam na niebieskie progi,
Jak zbrojne hufce ślę na pomoc tobie!

SCENA DRUGA.

Wzgórek, okolony drzewami. Daleka i wesoła panorama się roztacza; widać piękną rzekę rozlaną w krainie ożywionej młodą, soczystą zielenią uprawnych pól i bujnych ukwieconych łąk. W bliższem i dalszem oddaleniu widać jasne szczyty wieżyc kilku miast. Bębny i muzyka wojenna za sceną. Odowalski i inni oficerowie występują na scenę, zaraz potem Dymitr.

ODOWALSKI.

Niechaj wojska przeciągną pod lasem,
My tymczasem rozejrzym się na wzgórzu.

(Kilku odchodzi, wchodzi Dymitr.)

DYMITR (cofając się).

Co za widok — przewspaniały!

ODOWALSKI.

Panie! to własne swoje widzisz państwo
Przed sobą, a ten kraj — już carski.

NAZYN.

Ten słup graniczny nosi herby Rosji;
Tutaj się kończą polskiej ziemi kraje.

DYMITR.

Czy to Dniepr, co tak pięknie, cicho płynie
Przez te niwy?

ODOWALSKI.

Nie, panie! To Desna — — —
A tam się wznoszą wieże Czernihowa.

NAZYN.

Co na dalekim nieboskłonie błyszczy,
To są kopuły Siewier-Nowgorodu.

DYMITR.

Jak luby widok! Co za piękne łany!

ODOWALSKI.

Wiosna je swemi ozdobiła sploty
A mnogość zboża rodzi żyzna gleba.

DYMITR.

Oko tu buja przyjemnie w przestworzu.

NAZYN.

To tylko mały początek, o panie,
Wielkiego państwa Rosji. — Nieskończenie
Daleko ciągnie ku słońca wschodowi,
A ku północy — to nie zna granicy,
Póki już sama przyroda nie płodzi.

— — — — — — — — — — —

NAZYN.

Patrz, jak głęboko car nasz się zamyślił!

DYMITR.

W tych pięknych niwach pokój jeszcze gości,
Ja się tu jawię z straszliwem narzędziem
Wojny, aby je wrogo dać pustoszyć.

ODOWALSKI.

O tem, mój panie, to się myśli później.

DYMITR.

Czujesz jak Polak, a ja, jak syn Moskwy;
Wszakże ten kraj tu życie mi darował!
Przebacz mi, droga ziemio — moja glebo;
Ty, święty słupie graniczny, co-ć tulę, —
Na tobie rodzic mój swe orły żłobił, —
Że ja, syn jego, z wrażą bronią wpadam
Do twojej cichej świątyni pokoju.
By żądać mojej schedy tu przychodzę,
I szlachetnego mych przodków imienia.

Tu panowali me dziady-Waregi
Długim szeregiem trzydziestu pokoleń;
Jam jest ich pnia ostatni, który mordu
Uniknął cudem boskiej Opatrzności. —

— — — — — — — — — — —

SCENA TRZECIA.

Wolny plac przed cerkwią. Słychać dzwon na trwogę. Gleb, Ilja i Timoska przybywają na scenę uzbrojeni w siekiery,

GLEB (wychodząc z domu).

Co lud tak śpieszy?

ILJA (wychodząc z innego domu).

Kto uderzył na trwogę w dzwon pożarny? —

TIMOSKA.

Sąsiedzi, śpieszcie — bywajcie na radę!

OLEG i IGOR.

(z wielu innymi chłopami, kobietami i dziećmi, niosącymi tobołki).

GLEB.

Zkąd wy idziecie z kobietami, dziećmi?

IGOR.

Uciekajcie co prędzej! — Polska wali!
Od Woroneżska mordują kto żyje!

OLEG.

Uciekajcie w głąb' lasu, lub do grodów!
Myśmy już nasze podpalili chaty;
Cała wieś spakowana — drała — w nogi,
I zmykajmy w kraj, do wojska cara.

TIMOSKA.

Ot, drugi oddział nieszczęśliwych zbiegów.

IWAŃSKA i PETRUSZKA
(z uzbrojonymi chłopami występują po drugiej stronie).

IWAŃSKA.

Niech żyje car nasz, wielki książę Dymitr!

GLEB.

Co? A to co znaczy?..

ILJA.

Dokąd to droga?

TIMOSKA.

Co wyście za jedni?

PETRUSZKA.

Kto stronnikiem rodu carów — pójdzie z nami.

TIMOSKA.

Co to znaczy? Patrzcie: cała wieś ucieka
W kraj, by się schronić przed tymi Lachami;

Wam droga w stronę zkąd tamci uciekli?
Chcecie-ż przechodzić tam, — na stronę wroga?

PETRUSZKA.

Co za wroga? Ten, co idzie, nie wróg — on
Przyjaciel kraju — prawy dziedzic tronu!

Posadnik (sędzia gminny) występuje, by odczytać manifest Dymitra. Wahanie się mieszkańców wsi między obu stronnictwami. Kobiety wiejskie stają pierwsze po stronie Dymitra i przeważają na szali jego sprawę.

Obóz Dymitra. W pierwszej bitwie pobito go, lecz armja cara Borysa zwycięża właściwie bezwiednie i nie wyzyskuje korzyści zwycięstwa. Dymitr, w rozpaczy, chce się zabić; z trudem udaremniają to Kurela i Odowalski. Swawola kozaków, przeciw samemu nawet Dymitrowi.

Obóz armji cara Borysa. On nieobecny, a to szkodzi jego sprawie—boją się go, lecz nie kochają. Armja jest silna, ale nie budzi zaufania. Dowódcy niezgodni i częściowo przechylają się na stronę Dymitra z rozmaitych powodów. Jeden z nich,

Sołtykow, opowiada się za Dymitrem z przekonania. Przejście Sołtykowa wywołuje najpoważniejsze następstwa; wielka część armji przechodzi do Dymitra. Borys w Moskwie. Ukazuje się jeszcze jako pan absolutny i ma obok siebie wierne sługi, lecz już zgorzkniał w skutek złych wieści. Obawa przed rewolucją w Moskwie powstrzymuje go, aby podążyć do armji; wstydzi się również, jako car, walczyć sam przeciw oszustowi. Scena między nim a arcybiskupem.

Hiobowe wieści nadchodzą ze wszech stron i niebezpieczeństwo dla Borysa wzrasta. Słyszy o odpadnięciu chłopów, oraz miast prowincjonalnych, o bezczynności armji i jej spiskach, o rozruchach w Moskwie i zbliżaniu się Dymitra. Romanow — którego ciężko był obraził, przybywa do Moskwy. To mu sprawia nowe kłopoty. Teraz krążą wieści, że bojarowie przechodzą do obozu Dymitra. Cała armja robi to samo.

Borys i Aksinja. Car okazuje się tkliwym ojcem i w rozmowie z córką otwiera swą duszę.

Borys został panującym przez zbrodnię, lecz spełniał wszystkie swe obowiązki względem kraju,

jakie przyjął na siebie; dla narodu jest on uznania godnym księciem i prawdziwym ojcem ludu. Tylko w stosunkach osobistych wobec niektórych osób był niedowierzający, mściwy i okrutny. Duch jego i stanowisko wznoszą go ponad wszystko, co go otacza. Długie piastowanie najwyższej władzy, zwykłe jarzmienie ludzi i despotyczna forma rządu, wbiły go tak w pychę, że dla niego jest niepodobieństwem przeżyć swój upadek. Widzi jasno, co mu grozi, ale jest jeszcze — carem — nieponiżonym — i postanawia umrzeć.

Wierzy w jasnowidzenia, a w obecnym nastroju ducha uważa takie rzeczy za poważne, któremi dawniej gardził. Pewne wydarzenie, w którem upatruje swoje przeznaczenie, uważa za głos decydujący o konieczności śmierci.

Na krótko przed śmiercią zmienia swe usposobienie całkowicie, staje się łagodnym nawet dla gońców wieści fatalnych dla niego; wstydzi się napadów gniewu, któremi dawniejsze wieści przyjmował. Pozwala sobie opowiadać wieści najniefortunniejsze, a nawet obdarza opowiadających mu je.

Skoro odebrał wiadomość o stanowczem swojem niepowodzeniu, odchodzi ze spokojem i rezygnacją, bez jakichkolwiek wyjaśnień. Wkrótce potem występuje na scenę w habicie mnicha i oddala swą córkę od ostatniej sceny. W pewnym klasztorze ma ona znaleźć schronienie i osłonę przed zniewagami; syn jego, Fiodor, może nie będzie potrzebował się tego obawiać. Zażywa truciznę i oddala się do oddzielnej komnaty, gdzie spokojnie umiera.

Ogólne zamieszanie na wieść o śmierci cara. Bojarowie zwołują radę państwa i panują z Kremlu. Romanow (następnie car i protoplasta dzisiaj panującej dynastji) występuje na czele siły zbrojnej i przysięga na piersiach cara na wierność jego synowi, Fiodorowi, zmuszając swoim przykładem bojarów do uczynienia tego samego. Ani obawa zemsty, ani też wpływy dworskie nie wpływają na stan jego duszy. Czyni wszystko w myśl prawa. Kocha Aksinję bez nadziei, ma jednak wzajemność, sam nie wiedząc o tem.

Romanow udaje się do armji, by ją zjednać dla młodego cara. Rewolucja w Moskwie, wywołana przez Dymitra. Lud porywa bojarów z domów,

osadza Fiodora i Aksinję w więzieniu i posyła posłów do Dymitra.

Dymitr w Tule u szczytu powodzenia. Armja w jego ręku; znoszą mu klucze miast. Sama Moskwa ma jeszcze wygląd oporny. Jest łagodnym i uprzejmym; na wieść o śmierci Borysa ujawnia szlachetne wzruszenie; wykryty spisek na swoje życie puszcza bezkarnie, spiskowców ułaskawia; wobec niewolniczych, wiernopoddańczych objawów uczuć Russów, wyraża swe niezadowolenie; podnosi godność osobistą obywateli, pragnie zmienić formę okazywania uczuć wiernopoddańczych w stosunku do najwyższej głowy państwa. Polacy, którzy go otaczają, są — przeciwnie — grubjańscy i traktują Russów pogardliwie. Dymitr żąda widzenia się z matką i wysyła posłów do Maryny.

Wśród mnóstwa Russów, którzy się cisną do osoby Dymitra w Tule, staje przed nim człowiek, którego Dymitr natychmiast poznaje. Cieszy się ogromnie na jego widok. Wszystkich innych obecnych oddala od siebie, a skoro został z nim sam-na-sam, dziękuje mu serdecznie, jako swemu wybawcy i dobrodziejowi. Przybysz daje Dymitrowi do poznania, że ma on zapewne wszelkie prawa do jego wdzięczności, może nawet daleko

większe, aniżeli przypuszcza. Dymitr zmusza go, by się jaśniej wypowiedział. Morderca prawdziwego Dymitra odkrywa mu, jak się rzecz miała w istocie. Za to morderstwo nie otrzymał od Borysa wynagrodzenia — przeciwnie, musiał się lękać, że sam poniesie śmierć z jego ręki. Pragnąc się zemścić, odnalazł chłopca, o uderzającem podobieństwie do Iwana. Postanowił skorzystać z tego. Zajął się losem chłopca, uszedł z nim i zaprowadził do pewnego popa, którego potrafił zjednać dla swego planu; temuż wręczył klejnot, zdjęty z zamordowanego Dymitra. Przez tegoż chłopca, którego później nigdy z oczu nie tracił i którego krokami zawsze niepostrzeżenie kierował, czuje się obecnie pomszczonym. Narzędzie jego, Dymitr fałszywy, panuje obecnie w Rosji na miejscu tamtego.

Podczas tego zwierzenia zachodzi w Dymitrze szalona przemiana. Milczenie jego jest strasznem. W chwili najwyższej pasji i zapamiętałości Dymitra, morderca przywodzi go do ostateczności, żąda bowiem cynicznie, uporczywie, nagrody dla siebie. Dymitr mu ją wymierza, przebijając go sztyletem.

Monolog Dymitra. Walka wewnętrzna, skutkiem refleksji ducha przeważa konieczność utrzymania się na stanowisku zajętem.

Posłowie Moskwy przybywają i poddają miasto Dymitrowi; on ich przyjmuje z groźną postawą i wita ponuro. Między posłami znajduje się i Patrjarcha. Dymitr pozbawia go urzędu i wkrótce

potem skazuje na śmierć pewnego znakomitego bojara za to, że śmiał wątpić o jego prawdziwości.

Marfa i Olga oczekują Dymitra pod wspaniałym namiotem. Marfa mówi o zbliżającem się spotkaniu więcej ze zwątpieniem i obawą, aniżeli nadzieją, i drży na samą myśl tej chwili, która powinna być dla niej najwyższem szczęściem. Olga przemawia do niej również bez wiary; lecz podczas uciążliwej i długiej podróży miały obiedwie czas przypomnieć sobie wszystkie towarzyszące okoliczności. Pierwsze uniesienia znikły i zbladły wobec działania rozsądku. Milczą więc ponuro, a groźne marsowe oblicza wartowników, otaczających namiot, pognębiają je jeszcze bardziej i potęgują wątpliwość.

Sygnały trąb wojennych. Marfa bezradna, nie wie, azali jej wypada wyjść naprzeciw Dymitra. Teraz on sam przed nią stawa. Mały rąbek nadziei niknie na jego widok w zupełności. Coś obcego, nieokreślonego, niewypowiedzianego wciska się pomiędzy nich i dzieli bezgranicznie. Pierwszy ruch — to zamiar, by się wzajemnie zbliżyć do siebie. Marfa cofa się nieznacznie pierwsza; Dymitr to w lot chwyta i staje na chwilę, jakby spiorunowany. Milczenie głuche.

DYMITR.

Głos natury jest świętym i wolnym, nie pragnę wywierać nań przymusu, aby kłamał;—gdyby twe serce za mną przemówiło na mój widok, to moje odpowiedziałoby najpewniej czułą wzajemnością. Znalazłabyś swojego syna pewnie; syna z czcią i miłością dla rodzicielki... Z konieczności objawiłoby się uczucie i, z tkliwości dla matki — miłość dziecięca. Lecz skoro mię nie poznajesz jako swego syna — bądź księżną — bądź królową kraju! Mię daje tobie za syna Opatrzność; bierz mię więc, jako przeznaczony sobie dar niebios. Nawet, chociażbym synem twym nie był, synowi twemu wszakże nic nie kradnę. Okradłem twego wroga: Ciebie to i krew twoją — ja pomściłem! Wyrwałem cię z grobu, gdzie za życia byłaś zakopaną; jam ciebie wyprowadził na twój tron książęcy. Że losy twe z mojemi złączone — pojmujesz to chyba. Razem ze mną istniejesz i ze mną upadniesz. A wszystkie ludy patrzą tylko na nas. Brzydzę się udawaniem, a czego nie czuję, tego też udawać nie myślę! Dla ciebie wszakże odczuwam całą cześć, a to uczucie co mi gnie kolano — jest szczerem. (Niema gra twarzy Marfy daje poznać wewnętrzne jej wzruszenie.)

Dymitr. A więc decyduj się! I pozwól, że będzie to czynem twej woli, czego natura srodze ci odmawia. Nie żądam udawania, ani kłamstwa,

lecz wymagam prawdziwego uczucia. Matki mi nie udawaj, — ale nią bądź! Zrzuć przeszłość z siebie, a całem sercem uchwyć teraźniejszość. Lubom nie synem, przecież jestem carem; przy mnie potęga, szczęście! Ten, co w grobie spoczywa — prochem; on nie ma serca, coby cię kochało, ni oka, coby się do ciebie uśmiechało. Zwróć się ku żyjącemu! (Marfa wybucha płaczem.)

Dymitr. O, te kropelki złote, dla mnie drogie! Pozwól im płynąć! Okaż się tak ludowi! (Na znak, dany przez Dymitra, ściany namiotu się rozsuwają i zebrani Russowie są świadkami tej sceny.)

Wjazd Dymitra do Moskwy. Wielki przepych, lecz pogotowie wojenne. Polacy i kozacy rozpoczynają pochód tryumfalny. Przygnębienie i ponure uczucia udzielają się ogółowi i mącą radość ludu. Lęk i niepewność przyszłości ogarnia wszystkich.

Romanow, który przybył za późno do armji, wraca do Moskwy, by bronić Fiodora i Aksinji. Wszystko udaremnione; jego samego chwytają i wtrącają do więzienia. Aksinja ucieka się do carowej Marfy, rzuca się jej do nóg i błaga o opiekę przed Polakami. Dymitr widzi ją tutaj, a jej widok zapala w nim gwałtowne, niepowściągliwe żądze. Aksinja czuje wstręt do niego.

Dymitr carem. Siła okrutna, nieubłagana unosi go, on jej jednakże nie potrafi wyzyskać; zgoła inne żądze nim kierują. Wewnętrzna jego świadomość, że jest samozwańcem, wzbudza nieufność ogółu; nie ma żadnego przyjaciela, żadnej wiernej, oddanej sobie duszy. Polacy i kozacy szkodzą mu swą zuchwałością w opinji narodu. To nawet, co przemawia na jego korzyść: jego prostota, popularność, unikanie sztywnego ceremonjału etykiety dworskiej—budzi niezadowolenie. Częstokroć grzeszy brakiem uwagi na zwyczaje krajowe. Mnichów prześladuje z powodu, że wśród nich cierpiał. Kaprysy despoty nie są mu obce, zwłaszcza gdy jego duma bywa obrażoną. Odowalski umie mu być zawsze nieodbicie potrzebnym, usuwa zręcznie Russów z jego pobliża i utrzymuje się na stanowisku przeważającego wpływu.

Dymitr zamyśla sprzeniewierzyć się Marynie. Mówi o tem z arcybiskupem Hiobem, który go w tym zamiarze podtrzymuje, wpajając w niego wysokie pojęcie o znaczeniu i potędze cara, a to celem pozbycia się Polaków.

Maryna przybywa do Moskwy na czele wielkiego orszaku. Jej spotkanie się z Dymitrem. Powitanie chłodne z obu stron, nieszczere; ona

umie się jednak lepiej utrzymać w swej roli. Maryna nagli o przyśpieszenie ślubu. Czynią przygotowania do okazałej uroczystości.

Z rozkazu Maryny podano Aksinji truciznę. Ona wita śmierć z upragnieniem, obawiała się bowiem, by jej nie zmuszono do pójścia z carem do ołtarza.

Dymitr rozpacza. Do ślubu z Maryną idzie z rozdartem sercem.

Maryna odkrywa mu po ślubie, że ma go za fałszywego Dymitra i że go nigdy nie uważała za prawdziwego. Chłodna, wyniosła, pozostawia go samemu sobie w stanie rozpaczy.

Tymczasem Szujski, jeden z dawniejszych doradców cara Borysa, wyzyskuje chwilę wzmagającego się niezadowolenia ludu i staje na czele spisku przeciw Dymitrowi.

Romanowa pociesza w więzieniu duch Aksinji, otwierając mu oczy na przyszłe, lepsze czasy i rozkazując mu, aby pozwolił ze spokojem dojrzeć wyrokom Opatrzności i nie plamił swych rąk

krwią. Romanow otrzymuje znak, że jest powołanym do objęcia tronu. Wkrótce potem wzywają go, by wziął udział w spisku; on odmawia.

Sołtykow czyni sobie gorzkie wyrzuty, że zdradził kraj dla Dymitra. Nie chce być zdrajcą po raz wtóry i wręcz przeciw swemu przekonaniu, należy z natury swej prawości do raz obranego stronnictwa. Nieszczęście raz się stało, nad tem więc pracuje, aby je zmniejszyć i osłabić potęgę Polaków. Postanowienie takie płaci śmiercią; zgon swój przyjmuje jako karę zasłużoną, umierając, wyznaje to Dymitrowi.

Kazimierz, brat Ludki — młodej Polki, która się w Dymitrze na dworze wojewody sandomierskiego beznadziejnie kochała, towarzyszył Dymitrowi podczas wyprawy i dzielnie go osłaniał w każdej bitwie. W chwili największego niebezpieczeństwa, kiedy każdy ze stronników Dymitra myśli tylko o ocaleniu siebie, Kazimierz jedynie pozostaje mu wiernym i przypłaca życiem tę wierność.

Spisek wybucha. Dymitr u carowej Marfy. Naczelnicy spisku wpadają do komnaty. Godność i śmiałość Dymitra obezwładnia sprzysiężonych. Rozbrojenie napastników prawie mu się udaje,

pozwala im na wydanie na łup Polaków, lecz w tej chwili wpada Szujski do komnaty na czele innej partji sprzysiężonych. Żądają od carowej kategorycznego oświadczenia, po którem ma ona ucałować krzyż, że Dymitr jest istotnie jej synem. Tak uroczyście i wbrew własnemu sumieniu zaświadczyć nie może. W milczeniu odwraca się więc od Dymitra i chce się oddalić: „Ona milczy?“ — wołają spiskowcy—„ona go się zapiera! A więc giń, szalbierzu!“ I pada, przeszyty sztyletami, u nóg Marfy.

BIBLIOTEKA UNIWERSYTET WARSZAWSKI
77227